



D O M I N I K A | S K O C Z E Ń

W IMIĘ BOGA

W IMIĘ BOGA ® DOMINIKA SKOCZEŃ

Wszystkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środowiskach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody twórcy.

Wydanie pierwsze.
Wojkowice 2024

ISBN: 978-83-67448-80-2
ISBN EBOOK: 978-83-67448-81-9

Redakcja: Marek Jeziorski

Korekta: Rafał Paliński, Kamila Galer - Kanik

Projekt graficzny: Julita Nowosad

Skład: Marcin Halski

WYDAWNICTWO HM...

E-mail: redakcja@wydawnictwohm.pl
Telefon: 518833244
Adres: ul. Sobieskiego 225/9 42-580 Wojkowice

Wydanie papierowe dostępne na:

www.wydawnictwohm.pl



DOMINIKA SKOCZEŃ

**W IMIĘ
BOGA**

Wojkowice 2024

ROZDZIAŁ I



Lecz mijały lata, pokolenie za pokoleniem, wiek za wiekiem, a ludzie zapomnieli o swym Panu i Stwórcy. Ich dusze szerniały i wykrzywiły się, serca stały się zatwardziałe i skore do grzechu. (...) Lecz Pan usłyszał płacz wdów i sierot. Spojrzał tedy na swój lud. Począł badać każdą duszę i każde serce, aż wzgardził ich pychą i rozpasaniem. „To nie jest lud, który stworzyłem”, powiedział Pan.

Zapis, Księga I, Upadek Ludzi

– Nie, nie i jeszcze raz nie! To jest absolutnie nie do przyjęcia! Nie wiem, czy chcą nas otłuć, czy ośmieszyć? Ten arakowy posmak! Ohydny! No sama spróbuj, czy nie mam racji!

Laila spojrzała z niechęcią na kryształową patere, którą matka właśnie jej podsunęła. Każde z ciastek było małym cukierkowym cudem. Na śnieżnobiałej powierzchni odcisnięto ukryte wśród listowia słowiki, splecione serca albo różane krzewy. Laila pomyślała, że jeśli zje jeszcze choć jedno, nawet malutkie, to zwymiotuje. Tymczasem deszcz szumiał monotonnaie za oknem i gdyby nie jasne światło primionowych lamp i trzaskający w kominu ogień, byłoby naprawdę ponuro. Mimo to wszystkie zebrane w pokoju nadkobiety, poza nią samą, zdawały się tryskać energią.

– Masz rację, to absolutnie nie do przyjęcia – zgodziła się dla świętego spokoju.

Machnęła ręką, nakazując jednej z asystentek zabrać patere. Niestety na jej miejsce natychmiast pojawiła się nowa – tym

razem okrągłe, niemal białe biszkopeciki, obsypane cukrem pudrem i przełożone różaną konfiturą. Jakimś cudem zmieściły się między popielniczką a globusem o fornirowanej, zdobionej podstawie. Gdyby ojciec dowiedział się, że wraz z matką zagarnęły jego pracownię, na pewno byłby wściekły. Jednak biorąc pod uwagę, że całe popołudnie miał spędzić w Pałacu Arcysługi, raczej nie groziło mu odkrycie tego oburzającego aktu samowoli.

– Do tego jeszcze ta niedorzeczna kwiatowa aranżacja! – Matka spróbowała kolejnego ciastka. Cecylia Hencelrinki była damą w każdym calu, więc na jej szmince, palcach ani na szyfonowej bluzce nie znalazł się nawet ślad pudru. – Mówiłam im, motyw śniegu! Cóż z tego, że niekończący się deszcz, no, może przelotna burza, to najciekawsze zjawisko atmosferyczne, na jakie możemy liczyć w zimie po tej stronie gór? Wyobraźnia! Nie trzeba wiele, żeby zgadnąć, że czerwone azalie nie będą pasować. Chyba wiedzą, że śnieg jest biały? No, wiedzą czy nie? – Potoczyła wokół spojrzeniem, jakby spodziewała się odpowiedzi.

– Tak, wasza wielmożność – stwierdziła gorliwie główna asystentka, kiedy stało się jasne, że Laila nie zamierza odpowiedzieć. – Osobiście upewnię się, że nowe bukiety składają się wyłącznie z białych kwiatów.

– Dobrze tak tym pismakom z „Salonu damy światowej”. Widziałś ich wczorajszy artykuł? Przekupili naszego dostawcę kwiatów. Wyśpiewał im wszystko, co wiedział o tym, jakie kwiaty planujemy zamówić! Oczywiście majordomus z samego rana pokazał mu drzwi. W pięty im pójdzie, gdy się okaże, że na weselu nie ma ani jednej czerwonej azalii!

– Musimy jeszcze raz przejrzeć listę gości. – Laila odchyliła się na oparcie kanapy, ze znużeniem pocierając skronie. To był prawdziwy problem, nie jakieś tam ciastka czy kwiaty. – Narcyza Koleon właśnie przysłała wiadomość, że nie zamierza się pojawić, skoro zaprosiliśmy także Gustawa Słonecznego. Ale zarządcę Bazyliki Bożego Światła przecież musimy zaprosić! Gustaw zostaje i kropka.

– Och, naprawdę, mogłaby przeboleć, że nie ożenił się z jej wnuczką! Trochę godności, bardzo was proszę! – Cecylia wyciągnęła dłoń, nie zwracając się do nikogo w szczególności, a inna asystentka natychmiast podała jej sporej wielkości papierowy

rulon. – To oznacza, że przy jej stole... – Matka mówiła i mówiła, główna asystentka gorliwie notowała, a pozostałe porównywały z przejęciem długie listy zamówień i spraw do załatwienia, napełniając pokój trajkotem rozmów, szelestem papieru i skrobaniem wiecznych piór.

Laila przestała słuchać. Miała serdecznie dość przygotowań do tego przekłętego ślubu. *Oby tylko Waldor szybko stanął na nogi*, westchnęła w duchu. Zostały lekko ponad dwa tygodnie, a on akurat teraz postanowił się rozchorować! Kiedy wczoraj powiedział, że nie czuje się najlepiej, nie była pewna, czy wydrapać mu oczy, czy jak najszybciej się oddalić, żeby i ona nie zaniemogła. Wybrała to drugie, zwłaszcza że Waldor wyglądał naprawdę nieszczęśliwie. Zostawił wszystko na jej głowie, a Laila marzyła tylko o tym, by zająć się czymkolwiek innym. Nawet jej primiony zrobiły się ospałe, jakby też miały już wszystkiego dość.

– Więc to tutaj się chowacie! – Przez drzwi wsunęła się głowa Lupinora, jej stryjecznego brata. Nadmężczyzna omiółł spojrzeniem walające się po stołach szkice, papiery i stopy ciastek, rozmawiające nadkobiety i umęczoną Lailę po środku. – Wiecie, że to tylko ślub, a nie operacja wojskowa? – dodał.

– Mój drogi, nie opowiadaj bzdur, bardzo cię proszę! – parsknęła Cecylia, potrząsając głową, aż zamigotały brylantowe kolczyki. – Nie codziennie wydaje się za mąż dziedziczkę największego rodu w Imperium! Do tego zaszczyci nas obecnością sam Arcysługa! To nie operacja wojskowa, to cała kampania! Wszystko musi być dopięte na ostatni guzik. Zresztą od niejednej operacji wojskowej zależy mniej niż od tego ślubu – dorzuciła, nie bez pewnej racji. Sięgnęła po paterę i podetknęła mu ją pod nos. Piramidka słodczy zakolebała się niebezpiecznie, grożąc wylądowaniem na wzorzystej kamizelce lub, co gorsza, na nienagannie wyprasowanej koszuli Lupinora. – Dobrze, że jesteś! Spróbuj tych biszkoptów z konfiturą i powiedz, czy są lepsze niż kremowe roladki.

– Nie marzę o niczym innym, jak pomóc paniom, ale obawiam się, że spieszę się na spotkanie Towarzystwa Łowieckiego – powiedział z przesadnym ubolewaniem, równocześnie zgrabnie chwytając spadające ciasteczko. Na dowód tego, że mówi prawdę, uniósł rękaw klubowego surduta. Laila poczuła ukłucie zawiści. Jak on to robił, że zawsze, kiedy ktoś chciał od niego czegoś, na

co Lupinor nie miał ochoty, był absolutnie niezbędny zupełnie gdzie indziej?

Kuzyn uchwycił spojrzenie Laili i uniósł brew, jakby mógł słyszeć jej myśli.

– Na pewno wybierzesz wyśmienicie, stryjenko. W końcu twój gust jest sławny w całym mieście. Mmm, pyszne – dorzucił, odgryzając kawałek biszkopczyka i cofając się do wyjścia.

Cecylia machnęła na niego ręką, ale w kąciku starannie umalowanych ust czaił się teraz uśmiech. Znów sięgnęła po papier. *Lizus*, pomyślała Laila. *Nic dziwnego, że matka go uwielbia.*

– Och, zapomniałbym – dodał Lupinor, już prawie znikając za drzwiami. – Przybył posłaniec do ciebie, droga kuzynko. Zdaje się, że od Suwarowów. Mam kazać go tu przysłać, czy...

– Nie, nie, nie trzeba – przerwała mu szybko, z wdzięcznością chwytając podsunięte koło ratunkowe. – Sama do niego zejdę. I tak jest tu dość zamieszania. – Zerwała się i wygładziła spódnicę. – To na pewno Waldor chce mnie powiadomić, że czuje się lepiej. Zaraz wrócę, matko. Oczekujcie dobrych wieści.

Wymknęła się za Lupinorem na korytarz, chwytając po drodze kieliszek galdyjskiego czerwonego wina, jej głównego sprzymierzeńca w walce z weselnym koszmarem.

– Widzę, że łatwo nie jest. Myślałem, że wkuwanie Zapisu wymaga cierpliwości, ale przy tym to pestka – rzucił obrazoburczo, kiedy drzwi pracowni zatrzasnęły się za nimi. Piękny i bladolicy, jasnozłote włosy miał rozdzielone przedziałkiem i zaczesane na bok. Do tego modne krótkie bokobrody. W oczach migotały mu isierki. – Jesteś mi teraz winna przysługę, kuzyneczko – zażartował, oblizując palce z marmoladki, gdy schodzili reprezentacyjnymi schodami do holu. Często bywał niepoprawny, gdy nikt nie patrzył, ale w towarzystwie zawsze zachowywał się nienagannie.

– Tylko byś spróbował uciec na spotkanie tego swojego łowieckiego kółka, zostawiając mnie tam w środku – zagroziła. – Nikt ci nie mówił, że nie należy złościć panny młodej tuż przed ślubem? Jesteśmy bardziej drażliwe niż wybudzony ze snu niedźwiedź i nie mniej dosadne w wyrażaniu swojego niezadowolenia. Chyba że tak naprawdę miałeś na myśli towarzystwo jakiejś pięknej młodej damy?

– Niestety. Tym razem rzeczywiście chodzi o zebranie bandy dżentelmenów, którzy pod pretekstem rozmów o polowaniach chcą się poczuć lepszymi od kogoś z wielkich Hencelrinków. – Skrzywił się. – A ponieważ wy wszyscy jak zwykle znajdujecie się daleko poza zasięgiem ciosów, to ja muszę przyjąć rolę worka treningowego. – Wyjął z kieszeni kamizelki grawerowany złoty zegarek i sprawdził godzinę. – Jestem już horrendalnie spóźniony – stwierdził bez szczególnego przejęcia. – Nie powiem, żeby bardzo mi się spieszyło na spotkanie z tą obłudną hałastrą, choć pewnie powinienem być wdzięczny, że w ogóle mnie tam jeszcze zapraszają po tym, co zgotował mi kochany ojczulek.

Spochmurniał, jak zawsze gdy rozmowa schodziła na ten temat. Laila poklepała go współczująco po ramieniu. Rozczarowanie własnymi rodzicami należało do wątpliwych przywilejów każdego młodego pokolenia.

– A oto i twoja wiadomość, kuzynko – dodał, gdy znaleźli się w holu. Posłaniec, stojący tuż przed linią dywanu, który prapradziadek Laili nakazał sprowadzić aż z Zachodnich Wysp, skłonił się na ich widok.

– Panno Hencelrinki. – Podał jej zalakowaną kopertę, wyraźnie bardzo skupiony, by nie nastąpić na drogocenny kobierzec. – Pilna wiadomość od pani Suwarow.

Matka Waldora? Spodziewała się raczej wiadomości od narzeczonego, bijącego się w piersi za chwilową słabość i gotowego nadrobić zmarnowany czas. W końcu był nadczłowiekiem, na miłość boską! Ileż mógł chorować?!

Złamała pieczęć. Zerknęła na list, równocześnie pociągając łyk wina. Chwilę później kieliszek wysunął się ze zdrtwiałych palców. Nie roztrzaskał się tylko dlatego, że upadł na dywan. Poturlał się jeszcze kawałek, zostawiając za sobą krwistoczerwoną smugę. Laila nawet tego nie zauważyła. Wpatrywała się w słowa, które zdawały się przeczyć rzeczywistości.

– To niemożliwe – wyszeptała wreszcie, podnosząc na Lupinora zdumione spojrzenie.



Koła powozu rytmicznie turkotały po bruku w asyście stukotu końskich kopyt i podzwaniania uprzęży. Gazowe latarnie rozświeślały mokry, zimowy zmierzch charakterystycznym zielonkawym blaskiem. Deszcz monotonna stukał o szybę.

– Nie mogę w to uwierzyć! Po prostu nie mogę! – powtarzała w kółko Laila, nerwowo splatając i rozplatając palce. Wiadomość tak ją zaskoczyła, że wyszła z domu tak, jak stała, zgarniając po drodze tylko kapelusz i rękawiczki. Gdyby Lupinor przytomnie nie zabrał dla niej płaszcz, trzęsłaby się z zimna w samej bluzce i spódnicy. – Jak to jest umierający?!

Przecież wczoraj rano był ledwie przeziębiony! Zresztą był czystej krwi nadczłowiekiem, do tego oficerem o doskonałej tężyznie fizycznej! Choroby się go nie imały! Przecież... przecież...

Lupinor chwycił ją za rękę, przerywając nerwowy taniec palców.

– Jestem pewien, że to jakaś pomyłka – zapewnił ją.

Uśmiechnęła się blado. Dobrze, że z nią był. Jego obecność dodawała otuchy, mimo że o nią nie prosiła. Wiedziała, jak ważne są dla niego tamte spotkania, a jednak pobiegł za nią, nawet się nie zastanawiając.

Westchnęła i oparła głowę o okno powozu. Za lekko zaparowaną szybą życie toczyło się jak zwykle. Chłopcy z gazetami nawoływali klientów, tramwaj konny przetoczył się po bruku, ochlapując kilku oburzonych nieszczęśników. Skryci pod parasolami panowie uchylali kapeluszy przed damami, panie ostrożnie przekraczały kałuże niczym dziwne, egzotyczne ptaki, brodzące po podmokłych łąkach. Dzięki Bogu długie suknie z czasów prababki odeszły już w zapomnienie, ustępując miejsca znacznie praktyczniejszym strojom, odsłaniającym nogę aż do połowy łydki.

Powóz minął gmach opery i wspiął się na most, spinający kanał burzowy ostrym łukiem. Woda płynęła głębokim, wartkim strumieniem. Dźwięki ulicy zlewały się z jednostajnym szumem deszczu, gdy Laila błędziła wzrokiem po mijanych budynkach.

Tremoriał. Pierwsze nadludzkie miasto, obecnie stolica Imperium i samo serce Kościoła. Wzniesiony na szczycie wzgórza, przez setki lat rozrastał się, przyjmując w swe progi nadludzi pragnących bezpieczeństwa, a w późniejszych czasach przyciąganych przez przepych metropolii. Dziś dawne mury były już tylko

wspomnieniem. Miasto spływało po zboczach wzgórze i rozlewało się wokół podstawy, sięgając aż za opływającą je rzekę.

Tremoriał był miejscem pełnym sprzeczności. Od Rajskich Pól, dzielnicy pięknej i eleganckiej, zamieszkałej przez szlachtę i arystokrację najczystszej krwi, przez Podgórze, z jego fabrykami, sklepami i warsztatami, aż po Rioko, rozciągającą się za rzeką dzielnicę nędzy, pełną złodziei, żebraków i mieszańców wątpliwego, a raczej niewątpliwie podłego pochodzenia, którym przyzwoity nadczłowiek nie ukłoniłby się na ulicy, o podaniu ręki nie wspominając. Chwała Bogu, tacy jak oni nie byli wpuszczani do centrum miasta, dzięki czemu bogobojni obywatele nie byli narażeni na obecność takiego „elementu”.

Gdyby gość odwiedzający Tremoriał zadał sobie dość trudu, by zwiedzić każdy plac, zaułek i uliczkę, mógłby dojść do wniosku, że ma do czynienia nie z jednym miastem, a z trzema.

Wreszcie powóz przejechał przez bramę. Za nią, w strugach ulewy, niczym ponury olbrzym majaczyła fasada rezydencji Suwarowów. Lupinor zastukał w okno powozu, dając znać lokajowi, by ten zadzwonił do drzwi i zaanonsował pannę Hencelrinki. Sam wysiadł i otworzył dla Laili parasolkę.

Przemierzyli mokry dziedziniec i wkroczyli do ciepłego, jasno oświetlonego holu. Laila szybko zsunęła okrycie i rzuciła je w ręce lokaja. Ten, nie dając po sobie poznać zaskoczenia pośpiechem, zaczął je suszyć delikatnym strumieniem primionów płynącym z dłoni.

– Laila, czekaj! – zawołał Lupinor do kuzynki, która już zmierziała w stronę schodów, ignorując idącego w jej stronę służącego.

– Waldor umiera, Lupinorze – wycedziła, nawet się nie odwracając. – Naprawdę nie zamierzam przejmować się teraz konwenansami. Doskonale znam drogę, dziękuję – rzuciła chłodno do lokaja, który zatrzymał się bezradnie, patrząc to na nią, to w stronę piętra. Kuzyn posłał mu przepaszający uśmiech i szybko ruszył śladem panny Hencelrinki.

Dom Suwarowów, urządzony z pełną umiaru klasą, stanowił najlepszy dowód ich starej krwi, ale dziś w ogóle nie zwracała uwagi na otoczenie.

– Tu dzieje się coś dziwnego – mruknął Lupinor, gdy weszli na drugie piętro. – Nikogo tu nie ma, zauważyłaś? Gdzie jest służba?

Rzeczywiście. W rezydencji tej wielkości, zwłaszcza jeśli przyszło się niezapowiedzianym, łatwo było natknąć się na służących wykonujących swoje drobne zadania. Dopiero gdy zwrócił na to uwagę, spostrzegła, że odkąd opuścili hol, nie spotkali żywej duszy. Ani służby, ani nikogo z domowników. Część lamp pogasła z braku nafty, spowijając korytarz w półmroku. Zapach spalonych knotów, których nikt porządnie nie wygasił, drażnił nozdrza. Było całkowicie cicho, zupełnie jakby cały dom nagle opustoszał.

Lupinor sięgnął za koszulę i wyciągnął spory wisior z wydrążonego górskiego kryształu w metalowej oprawie. Podniósł małą kłapkę, przysuwając dłoń do otworu. Świecące primiony zaczęły spływać wprost do naczynia. Gdy blask stał się wystarczająco mocny, zamknął pojemnik, zsunął wisior z szyi i uniósł jak latarnię, oświetlając drogę.

W ten sposób dotarli przed pokoje Waldora. Drzwi były uchylone, rzucając na podłogę pasek światła. Weszli do małego salonu. Tam również nikogo nie było. Laila śmiało pchnęła drzwi sypialni, zaś Lupinor został z tyłu, jakby nagle niepewny, co powinien ze sobą zrobić.

– Waldorze... – zaczęła, ale widok zebranego w środku niewielkiego tłumu, tak bardzo kontrastującego z pustką korytarzy, sprawił, że zatrzymała się zaraz za progiem.

W sypialni panował duszny, gorący półmrok. Aksamitne kotary zostały szczelnie zasunięte, jedyne źródło światła stanowiła stojąca przy łóżku niewielka primionowa lampa. Rzucała jasny krąg na szerokie łożo przykryte wzburzoną pościelą. Kąty pomieszczenia niknęły w mroku, twarze rodziców i rodzeństwa Waldora majaczyły na krawędzi cienia niczym maski, zastygłe w wyrazie ponurego wyczekiwania. W rogach łóżka, niczym strażnicy, stały cztery wysokie, spowite w biel postaci. Ich twarze kryły się pod woalami barwy zbielełej kości, zza materiału widać było połyskujące oczy. Splecione na piersiach obandażowane dłonie w połączeniu z absolutnym bezruchem nadawały im wyraz nieskończonej cierpliwości.

Co tu robią Słudzy?, zdumiała się Laila, kłaniając się z szacunkiem przed świętymi mężami. Jak zawsze w ich obecności poczuła się niegodna.

Wtedy go dostrzegła. W jednej chwili wszystkie zjedzone niedawno słodczyce podeszły jej do gardła.

Waldor leżał wśród przepoconych poduszek. Czarne włosy kontrastowały z bielą prześcieradeł. Dawniej przystojna twarz wyglądała jak z koszmaru, pokryta ropiejącymi i krwawiącymi wrzodami. Złuszczająca się płatami skóra ukazywała żywe mięso. Reszta ciała wyglądała niewiele lepiej. Zmiany pokrywały gęsto szyję i leżące nieruchomo na pościeli ręce. Cały pokój wypełniał mdlący, duszny zapach choroby i rozkładu. Tylko lekko poruszająca się pierś i słaby świst oddechu świadczyły o tym, że nadmężczyzna wciąż żyje.

To było niemożliwe! Panna Hencelrinki nie mogła oderwać wzroku od twarzy narzeczonego. To była... to była boża gorączka! Choroba, którą Bóg zsyłał na niegodnych! Grzeszników, których czyny były tak obmierzłe, że nie mogli już żyć wśród wybranych przez Pana nadludzi!

Ale przecież... Waldor przeszedł Próbę! Podobnie jak Laila i każdy szlachcic, który przekroczył wiek dziecięcy. Wzdrygnęła się mimowolnie, przypominając sobie swoją. Podniosła atmosfera. Słudzy. Ona i Róża. Cztery białe postacie wynoszące ciało siostry.

Ale on ją przeszedł! Udowodnił, że ma czyste serce. Że jest godny życia wśród szlachetnie urodzonych! Dlaczego teraz? Nigdy nie słyszała, żeby ktoś, kto przeszedł Próbę, zachorował. Na pewno nie za jej życia ani za czasów rodziców czy dziadków.

Podeszła do łóżka, ledwie świadoma obecności innych osób w pokoju. Twarze rodziców i rodzeństwa Waldora zmieniły się w rozmazane plamy na krawędzi pola widzenia. Gdy tylko się zbliżyła, poczuła niesamowitą aurę, która zawsze otaczała Sługi. Niepokojące wrażenie obcości i potęgi. Lekko drżące powietrze i słodki, kwiatowy zapach, dziś przemieszany z wonią choroby i rozkładu. Drżącą ręką wyciągnęła z kieszeni perfumowaną chusteczkę. Przyłożyła ją do nosa i uklękła obok łóżka, nachylając się nad chorym. Z najwyższym trudem panowała nad wyrazem twarzy.

A więc wiadomość była prawdziwa. Jej narzeczoney umierał. Sądząc po tym, co mówiono i co sama wiedziała o bożej gorączce, a także po urywanych jękach, które od czasu do czasu wyrывały się spomiędzy warg chorego, śmierć mogła okazać się łaską.

– Waldorze – powiedziała cicho. Głos jej się załamał. Jeszcze wczoraj rano rozmawiał z nią jak gdyby nigdy nic! Ustalali ostatnie szczegóły ślubu, sprzeczekali się w kwestii usadzenia gości. Krewki jak zawsze, podkreślał słowa, uderzając dłonią o stół. Na pierwszego Arcysługę, w Nowy Rok mieli się przecież pobrać... Nie mógł teraz tak po prostu umrzeć!

– Waldorze – powtórzyła. – To ja, Laila.

Nadmężczyzna drgnął, powieki się uniosły. Przez chwilę myślała, że ją usłyszał, ale spojrzenie miał szkliste, nieobecne. Wstrząsnął nim dreszcz, potem kolejny. Po chwili powieki zatrzepotały i opadły. Oddech uleciał pomiędzy warg z cichym szmerem. I tak po prostu, jakby rzeczywistość chciała zaprzeczyć temu, co właśnie pomyślała – umarł.

Jeden ze Sług nachylił się nad łóżkiem, a Lailę owionęła kolejna fala słodkiego zapachu. Kapłan z ceremonialną powolnością zaczął odwijać bandaż z lewej ręki, ukazując jasną, owrzodzoną skórę, po czym ujął nią dłoń Waldora. Gdy nie wyczuł primionów, wyciągnął małe lusterko i przyłożył je do ust zmarłego. Nie zaparowało. W rzeczywistości lusterko było zbędne. Gdy nadczłowiek umierał, jego primiony zatrzymywały się i przestawały wibrować pod palcami. Tego dziwnego wrażenia martwej skóry nie dało się pomylić z niczym innym, jednak lusterko pozostawało uświęconą przez wieki tradycją, pochodzącą jeszcze sprzed Podziału.

– Jego dusza opuściła ciało – oznajmił spokojnie Sługa, pokazując wszystkim idealnie przejrzystą szklaną powierzchnię. Za Lailą rozległ się urwany szloch. – Rodzina może się pożegnać ze zmarłym. Potem zabierzemy go i pochowamy zgodnie z ceremonią, w miejscu dla niegodnych. Pamiętajcie – dodał z łagodnym napomnieniem, podczas gdy drugi Sługa na powrót owijał mu dłoń bandażem – jego śmierć, nieważne, jak drogi był wam za życia, jest błogosławieństwem dla naszego społeczeństwa i dla świata. Chwalmy Pana, który jest wszechwiedzący i chroni swe dzieci przed niebezpieczeństwem czającym się w mroku.

– Chwalmy Pana! – powtórzyły trzy silne głosy pozostałych Sług.

Reszta zebranych w pokoju nadludzi z lekkim opóźnieniem wymamrotała to samo.

– Pamiętajcie – rzekł surowo pierwszy – nikt, absolutnie nikt nie może się dowiedzieć, dlaczego nie żyje. Inaczej hańba spadnie na dom Suwarowów.



Laila niewiele pamiętała z momentu, gdy poblady Lupinor odprowadzał ją do domu. Następne dni ciągnęły się jak w koszmarze. Ogłoszono śmierć Waldora. Wkrótce w całej dzielnicy rozprawiano już tylko o tym, jak dziedzic Suwarowów niefortunnie zadławił się ością przy posiłku i to tuż przed swoim ślubem, okrzykniętym przez gazety jako najbardziej wyczekiwane wydarzenie kulturalne tej zimy. W „Kurierze Imperialnym” pojawił się szczegółowy opis życia i dokonań zmarłego panicza oraz długi artykuł na temat tego, czy jedzenie ryb może być szkodliwe dla zdrowia.

Jeszcze tego samego dnia rozpoczęto przygotowania do pogrzebu. Będąc narzeczoną Waldora, Laila spędzała długie godziny z jego matką i siostrą, ustalając najdrobniejsze szczegóły ceremonii. Trzeba było zdecydować, kogo i w jakiej kolejności zaprosić, zlecić przystrojenie Bazyliki Bożego Światła, wybrać drogę konduktu pogrzebowego, wysłać zwyczajowe podziękowania za wyrazy współczucia... Lista spraw zdawała się nie mieć końca. Suknia ślubna Laili leżała zapomniana w garderobie, tymczasem krawcowa gorączkowo brała miarę na czarną kreację.

Resztę wolnego czasu panna Hencelrinki spędzała na odbieraniu niekończących się kondolencji od co ważniejszych członków tremoriałskiej socjety. Jedni wykazywali się dużym taktem, inni rozwodzili się nad tym, jaka to wielka szkoda, że do tragedii nie doszło już po ślubie. Przyjaciółki wypytywały, jak się czuje, i zapewniały o swoim żalu. Służba zerkała na nią ukradkiem i szepotała po kątach. Wszystko to powodowało nieustający ból głowy i sprawiało, że Laila czuła się przynajmniej o dekadę starsza.

Nawet wieczory nie przynosiły ulgi. Kiedy rodzina zasiadała w świetle lamp, oddając się domowym rozrywkom, prędzej czy później matka wzdychała i odkładała robótkę.

– Kto by pomyślał! – mówiła półgłosem, upewniając się, że służba nie znajduje się nigdzie w pobliżu. – Doprawdy, coś takiego! Nigdy, w całej historii po Podziale nie zdarzyło się, żeby

ktoś, kto przeszedł Próbę, zapadł na bożą gorączkę! To przecież wbrew Zapisowi!

– Moja droga – wtrącał się łagodnie ojciec, obracając stronę czytanej powieści. – Zapis mówi jedynie, że boża gorączka jest narzędziem, którym dobry Bóg chroni wybrany lud przed zepsuciem, oddzielając grzeszników od nadludzi czystego serca.

– Ale to się zdarzyło samo, Ludwiku! Próbę zawsze inicjują Słudzy! A tu po prostu jednego dnia był zdrowy, drugiego umarł. – Po tych słowach zapadała dłuższa cisza.

– Musiał popełnić jakiś straszliwy grzech – odzywał się w końcu ojciec. – Albo jego charakter zaczął ulegać potwornemu zepsuciu, skoro zesłano na niego tak straszliwą karę. Wielki jest Pan, który potrafi zawczasu chronić swoje dzieci przed złoczyńcą wkradającym się nocą do domostwa.

– To takie przykre. – Z tymi słowami igła do haftowania wracała do pracy w zwinnych dłoniach matki. – Skoro zmogła go boża gorączka, nie będzie się cieszył wspaniałością nowego życia. Jego duszę pożre nicość. Biedak umrze na zawsze. Ślad po nim nie zostanie.

– Ekhm, tak. – Zwykle w tym momencie wtrącał się Lupinor, rozpaczliwie próbując przerwać rozmowę, od której wszyscy dostawali gęziej skórki. – Słyszeliście, że Słoneczni znowu przemalowują powóz? To już trzeci raz w tym miesiącu...

– Taki dobrze wychowany młodzieniec z dobrej rodziny. I do tego doskonały strzelec... – Głos Ludwika Hencelrinki był pełen smutnego niedowierzania, jak gdyby celne oko i pewna ręka przesądzały o prawości nadludzkiego charakteru. Nowinka o powozie przegrała z kretesem z mrozącą krew w żyłach historią, która wydarzyła się niemal na jego własnym progu.

– Pamiętajcie! – Matka surowo patrzyła każdemu po kolei w oczy. – Nie wolno nam pozwolić, by ktokolwiek się o tym dowiedział! Laila narzeczoną plugastwa? – wzdrygała się. – Zaraz odwrócono by się od nas plecami. Nawet cała historia i autorytet nazwiska Hencelrinków nie uchroniłby nas od katastrofy!

– Pamiętajmy, pamiętamy. Problem polega na tym, że nie tylko my znamy prawdziwy powód śmierci mojego narzeczonego. – Laila się skrzywiła. Pewnym pocieszeniem był co prawda fakt,

że Sługa nakazał jej i wszystkim obecnym w pokoju milczenie, najlepszy dowód na to, że Kościół wciąż pamiętał zasługi Hencelrników w budowaniu Imperium i dobrze im życzył. Ale przecież w domu Waldora byli i inni.

– Gdyby ktokolwiek coś pisał, cała sprawa już dawno byłaby w gazetach – powiedział Lupinor uspokajającym tonem. – Suwarrowowie nie są głupi, mają do stracenia o wiele więcej niż my. Ewidentnie zadbali o to, by pozbyć się potencjalnych świadków. Kiedy tam przybyliśmy, na wyższych piętrach nie było żywej duszy; musieli odesłać całą służbę, gdy tylko zobaczyli pierwsze oznaki choroby. Nawet jeśli ktoś podejrzewa, że za śmiercią Waldora kryje się coś więcej, nie ma pojęcia co. A nawet gdyby się domyślił, to szansa, że zaryzykuje utratę tak dobrej posady w imię donosu, jest niewielka. Myślę, że jesteśmy bezpieczni.

Po takich rozmowach Laila wracała do sypialni, gdzie bezskutecznie próbowała zasnąć. Przewracała się z boku na bok, a w głowie wirowały jej wspomnienia koszmarnego twarzą narzeczonego, mdlącego słodkiego zapachu i białych postaci, gotowych zabrać ciało, gdy tylko biedny Waldor wyzionie ducha.

Dzień przed pogrzebem przygotowania osiągnęły punkt kulminacyjny. Pogoda pogarszała się z godziny na godzinę. Padający od paru dni lekki kapuśniak zmienił się w prawdziwą ulewę. Wśród grubej warstwy chmur raz po raz przewalały się ciche grzmoty zwiastujące nadchodzącą burzę. Wszyscy chodzili spięci i nerwowi. Po kolejnym dniu pełnym mozolnej, nieprzyjemnej pracy i krótkiej sprzeczce z niedoszlą teściową, Laila poczuła, że jeszcze chwila i oszaleje. Potrzebowała chwili dla siebie. Chciała uciec gdzieś, gdzie wszystko dookoła nie będzie jej nieustannie przypominać o całym tym koszmarze. W obecnej sytuacji wydawało się to niemożliwe.

Gdy tylko wróciła do domu, kazała swojej pokojówce, Henriecie, zdjąć z siebie czarną wizytową suknię.

– Przynies mi tę starą, znoszoną sukienkę, w której pracuję w ogrodzie – nakazała, odkładając na toaletkę ciężkie brylantowe kolczyki, po czym zsunęła z palca zaręczynowy pierścień, który powinna nosić aż do pogrzebu. Z ulgą wyciągnęła się na łóżku w samej bieliźnie i gorsiecie.

– Pani? – zdziwiła się dziewczyna. Praca przy grządkach, ciemnym wieczorem i to w czasie ulewy, zdawała się nieporozumieniem.

– Rób, co mówię – napomniwała ją panna Hencelrinki, upewniając się, że srebrna szpilka dalej trzyma w ryzach gładki kok. – Przynies też parę tych wysokich skórzanych trzewików. Weź pelerynę i parasolkę z szafy dla służby, a jeśli ktoś cię zapyta, powiedz, że bierzesz dla siebie.

Zdumiona pokojówka oddaliła się, by wykonać polecenie. Po chwili była z powrotem i zaczęło się ubieranie. Laila czekała cierpliwie, gdy Henrieta zmagła się ze spodnią halką, wałkami wypuklającymi biodra i kolejną warstwą halek. Wreszcie nałożyła właściwą suknię. Chwilę układała i wygładzała materiał, by na koniec zapiąć małe guziki ukryte w plecach stanika i w rękawach.

Niemodny już dekolt w kształcie serca zdradzał, czemu kreacja została skazana na haniebny los sukienki „do wszystkiego”. Choć była to najmniej strojna pozycja w garderobie panny Hencelrinki, prawdopodobnie wystarczyłaby na sfinansowanie pobytu u wód przynajmniej jednej podopiecznej domu sierot Stowarzyszenia Sióstr Miłosiernych.

– Wychodzimy, pani? – nie wytrzymała Henrieta, kiedy Laila kazała włożyć sobie buty. – O tej porze? W taką pogodę? – dodała głośniej, jakby szum ulewy za oknem nie wystarczył za dowód na to, że pogoda nie nadaje się do spacerów.

– Ja wychodzę. – Laila wciągnęła skórkowe rękawiczki, podczas gdy służąca zapinała jej płaszcz. – Gdyby ktoś pytał, powiedz, że mam migrenę i wypoczywam w swoich pokojach. Nie chcę dziś nikogo widzieć. Ach, i powiedz w kuchni, że nie będę jadła kolacji.

– P-pani, idziesz sama?! Może chociaż pošlę po panicza Lupinora?

Zatrwożenie pokojówki było wielce stosowne. Co prawda Rajske Pola, najznakomitsza dzielnica Tremoriału, były bezpiecznym miejscem, gdyby jednak nadludzie dowiedzieli się, że panna z dobrego domu włóczy się wieczorami po mieście samotnie, i to w stroju służącej, stanowiłoby to doskonałą pożywkę dla plotek! Wprawdzie reputację Laili chroniło znakomite nazwisko

Hencelrinków, ale w tej sytuacji ostatnie, czego potrzebowała jej rodzina, to ściągnięcie na siebie dodatkowej uwagi.

Laili to nie martwiło. W czasie ulewy na ulicach nie będzie żywej duszy poza nieszczęśnikami, których obowiązki wygnały w deszcz i zawieruchę. Zresztą, była dziedziczką największej fortuny w kraju, jeśli nie liczyć majątku Kościoła. Nawet gdyby została odkryta, dostałaby burę od ojca, ale reszta szlachetnie urodzonych gęsi i indorów stwierdziłaby pewnie, że to wielce oryginalna zabawa, a nawet przejaw fantazji. W jej ślady ruszyłyby rzesze młodych panienek nazywających to „romantyczną awanturą”, ku utrapieniu biednych rodziców.

– Wypapłaj coś, a będę się na ciebie gniewać! – ostrzegła. Została załamującą rękę służącą i wyslizgnęła się z pokoju.

Lawirowanie korytarzami tak, żeby nikt jej nie zauważył, wymagało pewnej wprawy, ale już po chwili stała przed drzwiami dla służby. Otuliła się płaszczem, naciągnęła kaptur i pchnęła drzwi. Wiatr natychmiast cisnął jej w twarz strugi deszczu.

Zakłęła pod nosem słowami, których nie powinna znać dobrze wychowana dama, a które gęsto znaczyły strony podłego romansu, kupionego ostatnio w ramach kaprysu w księgarni na południowym ryneczku. Rozłożyła parasolkę. Przeszła przez podwórze i wyszła za bramę. Przewidywania okazały się słuszne: ulice były wyludnione. Zmierzch dawno już zapadł, latarnie z trudem rozganiały deszczowy półmrok. Na szczęście czas nieustających zimowych deszczów miał się ku końcowi. Wraz z Nowym Rokiem niebo powinno się rozpogodzić, poprawiając nastroje i przynosząc długo wyczekiwane rozrywki na świeżym powietrzu.

Szła ulicami, wreszcie wolna od nadludzi i obowiązków. Rajskie Pola były najpiękniejszą dzielnicą Tremoriału. Ulice poprzecinane były mniejszymi i większymi kanałami, którymi deszczówka wypływała z miasta. Zdobiły je mosty i mostki – od małych, romantycznych kładek po wysokie, strzeliste konstrukcje. Szerokie, brukowane aleje otaczały szpalery drzew i donice z kwiatami. Szczególnie wystawne budynki, teatry i świątynie podświetlały co piękniejsze rzeźby i ornamenty starannie zamaskowanymi primionowymi kulami. Mniej zamożni mieszkańcy wykorzystywali do tego aranżacje ze świecących łagodnym blaskiem kwiatów.

Niebo co jakiś czas grzmiało ostrzegawczo. Szum deszczu działał uspokajająco i pozwalał uporządkować myśli. Laila wędrowała dość długo, zanim w końcu zatrzymała się na środku wysokiego mostu. Stała przy barierce i spoglądała w dół. Woda była głęboka, ciemną powierzchnię burzyły krople deszczu. Tremoriał zbudowano na zboczu wzniesienia, płynęła więc szybko, niosąc ze sobą mniejsze i większe listki i gałązki.

Waldor umarł. Co prawda nie był miłością jej życia, ale go lubiła. Zнали się od dziecka. Do tego był przystojny, szanował ją i mógł się pochwalić nienagannym rodowodem.

Patrzyła w głąb kanału, czując w środku dziwną pustkę. Ich wspólne życie miało być wspaniałe. Cieszyła się na wszystko, co ich czekało, lecz nagle Pan postanowił usunąć Waldora z jej życia. Czuła, że to przypadkowe i niesprawiedliwe, chociaż całe życie uczono ją, że Bóg nigdy nie działa przypadkowo. Trudno było teraz w to wierzyć!

A co z nią samą? Co ją czekało? Jeszcze tydzień temu wszystko zdawało się zaplanowane na co najmniej kilka lat w przód. Teraz Laila znowu niczego nie była pewna. Przeczeka okres żałoby, a potem... Potem pewnie cały rytuał zalotów rozpocznie się od nowa. Westchnęła, starając się opanować zniechęcenie. Przyzwyczaiła się do myśli, że zostanie żoną Waldora. Pogodziła się z jego wadami i doceniała zalety. Każdy inny wybór wydawał się mało pociągający. Brat Waldora był jeszcze za młody. Teodor Koleon budził w niej niechęć, bo uważała go za bawidamka, a ojciec prędzej połknie Zapis, niż pozwoli jej wyjść za Słonecznego. Jeśli zaś chodziło o resztę stosownych kandydatów, to większość nieco gorzej urodzonych dżentelmenów ślinała się na myśl o jej majątku.

Postanowiła na razie się nad tym nie zastanawiać. „Tak jak matka wypycha pisklę z gniazda, tak Pan sprowadza nas ze znanych dróg, byśmy rozwinęli skrzydła i wzbili się w niebo”, mówiła święta księga. Może to prawda i nie powinna się martwić. Może Pan szykował dla niej coś innego. Coś jeszcze wspanialszego.

Czuła, że powinna wracać do domu. Burza krążyła bardzo blisko. Chmury co chwilę rozjarzały się od błyskawic, sznury wody spadały z nieba na ziemię. Zrobiło jej się chłodno. Jedną myślą sprawiła, że warstwa primionów na skórze zaczęła emanować ciepłem.

Wtem poczuła coś dziwnego. Nagły, niewyjaśniony niepokój, przenikający głęboko do samego wnętrza. Ten sam rodzaj pierwotnego strachu, który pojawia się wraz z dotknięciem pajęczych nóg na karku lub gdy w najciemniejszej godzinie nocy, w pustym pokoju usłyszysz się czyjś oddech. Nagle z pełną wyrazistością uświadomiła sobie, że stoi samotnie, późnym wieczorem, wśród opustoszałych ulic, nad którymi mogła w każdej chwili rozszaleć się burza. Serce trzepotało jej w piersi jak mały ptak. *Nie bądź głupia*, pomyślała, rozdrażniona tym przypiływem irracjonalnego lęku. Odwróciła się zdecydowanie, chcąc położyć mu kres tu i teraz.

Z jej ust wyrwał się cichy okrzyk.

Tuż za nią stał Sługa. Tak blisko, że mimo kaptura i woalu mogła dostrzec błyskające białka oczu. Zdążyła zobaczyć tylko te oczy i lśniące od wody białe szaty, gdy burza w końcu postanowiła na dobre zacząć przedstawienie. Niebo rozdarła przeraźliwie jasna błyskawica. Uderzyła niedaleko, rozsiewając silny zapach ozonu. Towarzyszył jej ogłuszający grzmot, tak donośny, jakby sam Pan w gniewie rozdarł niebo na dwie części.

Laila krzyknęła, odruchowo zasłaniając dłonią twarz i cofając się o krok. W pośpiechu przydepnęła rąbek nieco za długiej pele-ryny. Zachwiała się. Śliskie kamienie mostu uciekły jej spod stóp. Straciła równowagę i wpadła prosto na niską barierkę. Spadała.

Jakimś cudem udało jej się chwycić końcami palców skraju przęsła. Zatrzymała się z szarpnięciem. Ręka zaprotestowała gwałtownym bólem, od czubków palców aż po bark. Spojrzenie Laili odruchowo pobiegło w dół. Natychmiast tego pożałowała. Z przerażeniem patrzyła, jak wypuszczona z rąk parasolka spada, zdawałoby się całą wieczność, aż w końcu z pluskiem uderza w wodę daleko w dole.

Spowita w przemoczoną rękawiczkę dłoń Laili obsunęła się nieco na mokrym kamieniu. Palce, przyzwyczajone raczej do pisania listów, rysowania i układania bukietów, a z całą pewnością nie do utrzymywania całego ciężaru swej właścicielki, paliły żywym ogniem. Tylko sekundy dzieliły ją od upadku.

Zachrypniętym ze strachu głosem zawołała o pomoc. Równocześnie, siłą zrodzoną chyba wyłącznie z rozpacz, szarpnęła drugą ręką w stronę przęsła, próbując się chwycić. Wszystko

będzie dobrze. Musi tylko wytrzymać dość długo, żeby Sługa zdążył jej pomóc.

Śliski, mokry kamień wysunął jej się z rąk w chwili, gdy nieopodal uderzyła kolejna błyskawica. Krzyk Laili zagłuszyła burza, podobnie jak plusk, gdy uderzyła w wodę. Chwilę później jedynym, co mąciło tafle, były spadające z nieba wielkie krople ulewnego deszczu.